GAZETA CODZIENNA DLA WSZYSTKICH

Cena 10 groszy

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Dzisiejszy numer zawiera 6 stron

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

10 GROSZY — 10 GROSZY

Rok II. — Kraków, Poniedziałek 29 Sierpnia 1932 — Nr. 240

Strajk w stolicy trwa

5 proc. pracuje — Pożyczka dla miasta — Pracownicy wodociągów — Odezwa strajkowa

Sytuacja strajkowa w ciągu dnia wczorajszego nie uległa zmianie. Biura były nadal nieczynne. Przed gmachem magistratu kręciło się wielu urzędników, czekając wskazówek komisji międzyzwiązkowej. Do pracy przystąpiło około 5 procent urzędników, nie należących do żadnego ze związków.

Stanowisko prezydenta miasta pozostało takie same, jak w dniu wybuchu strajku. Prezydent domaga się podjęcia pracy, utrzymując, że kasy posiadają dostateczną ilość gotówki. Jest to o tyle ściśle, że magistratowi udało się wczoraj zrealizować pożyczkę półtoramiljonową przy pomocy Domu Bankowego Szereszewskiego.

W ciągu dnia nie doszło jednak do nawiązania rozmów pojednawczych między magistratem a delegatami strajkujących. Jedynie o 1-szej w południe odbyła się druga kolejna konferencja między prezydjum miasta, dyrekcją wodociągów i kanalizacji a przedstawicielami związków pracowniczych, czynnych na terenie tej dyrekcji w sprawie nowej umowy zbiorowej. Delegaci pracowników wykazali duże zrozumienie dla sytuacji finansowej miasta.

Magistrat, jak wiadomo, wymówił na dzień 1-go września umowę zbiorową i zmierza do 16 proc. obniżki płac oraz cofnięcia 13-ej pensji. W odpowiedzi pracownicy wyrazili gotowość przyjęcia obniżki 7 i pół proc., to jest tyle, ile wynosi wskaźnik obniżki kosztów utrzymania. Chwilowo nie doszło do porozumienia.

Magistrat, wedle krążących pogłosek, jest zdecydowany wymówić zbiorowo umowy pracownikom i przeprowadzić daleko idące redukcje. Pracownicy natomiast projektują zwrócenie się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z prośbą o interwencję. Fakt niepodpisania jeszcze umowy zbiorowej z pracownikami wodociągów wzmacnia stanowisko strajkujących.

Międzyzwiązkowa Komisja Prac. Miejskich wydała odezwę, w której czytamy m. in.:

„Okólniki p. prezydenta miasta, grożące represjami, zmierzającemi do wprowadzenia w błąd opinji publicznej rzekomem rozpoczęciem wypłat zaległych pensyj — uderzyły w próżnię... Zbliża się 1 września, a tem samem i należności nasze od magistratu niepomiernie wzrastają. Pamiętajmy, że o zwycięstwie zadecyduje tylko zwarty, solidarny front całego ogółu pracowników."

Wieczorem odbyło się posiedzenie delegatów związków zawodowych celem omówienia dalszej taktyki.

Polak czy Niemiec

będzie zwycięzcą w zawodach lotniczych?

Dziś na lotnisku w Berlinie odbędzie się ostatnia i decydująca próba w t. zw. „Challange 1932": próba największej szybkości samolotu.

Wczoraj zlecieli już wszyscy lotnicy do Berlina po przebyciu ostatniego etapu. Na etapie tym czołowy lotnik ekipy Żwirko, leciał z przeciętną szybkością 210 klm. na godzinę, zyskując przez to dalsze punkty. Na przestrzeni Hamburg — Berlin, Żwirko rozwinął nawet większą szybkość, bo 223 klm.

Czy wobec tych wspaniałych wyników palma pierwszeństwa, a więc 1-a nagroda zostanie przyznana Żwirce? Według tymczasowych obliczeń, Żwirko posiada największą liczbę punktów 460 następny Poss — 454, Fretz — 451 i Hirth — 450. Jeśli Żwirko w próbie szybkości osiągnie 238 klm. na godzinę, co dla jego maszyny jest możliwe — osiągnie pierwszą nagrodę. Taką właśnie szybkość rozwinął w locie z Paryża do Deauville. Niemcy mają nadzieję, że ich lotnik Hirth pobije Polaka.

Nagrody w zawodach są następujące: 1-a — 100 tys. franków 2-ga — 50 tys., 3-cia 25 tys. fr., 4-ta 13 tys. fr. Poza tem puhar zdobywany dwa razy z rzędu przez lotnika Morzika, biorącego udział i w obecnych zawodach — dostałby się na stałe w ręce niemieckie w razie ich zwycięstwa.

200.000 robotników porzuciło pracę

w przemyśle włókienniczym w Anglji

LONDYN. (ATE). — Wobec niepowodzenia konferencji pojednawczej w Manchesterze w przemyśle tekstylnym strajkuje około 200 tysięcy ludzi. Minister pracy Betterton w liście do posła Campbella oświadcza, że interwencja rządu w obecnej fazie konfliktu byłaby bezcelowa i mogłaby jedynie pogłębić różnicę pomiędzy obu stronami. Należy mniemać, że rokowania po jednawcze będą niebawem podjęte na nowo. Rząd nie posiada żadnych środków, celem zapobieżenia strajkowi.

SKRÓTY

Z Klangenfurtu (Austrja) donoszą, że wczoraj o godz. 11-ej odczuto tam trzęsienie ziemi. Słyszano łoskot podziemny, idący z północy na południe i zauważono drżenie budynków.

×

Słynny okręt - widmo „Chaco", który rozwoził do portów europejskich osoby, wydalone z Argentyny, powrócił do portu Buenos - Aires.

×

Nad miastem Asuncion w Paragwaju przeszedł straszny cyklon, który poczynił ogromne szkody. Wskutek zniszczenia oświetlenia elektrycznego miasto pogrążone było przez 10 godzin w ciemnościach.

×

Tajfun na wyspie Formozie spowodował 21 ofiar w ludziach. 3000 domów uległo zupełnemu, a 7000 częściowemu zniszczeniu. Formoza należy do Japonji

×

Ministerstwo pruskie nie dopuściło komisji sejmowej, która miała zrewidować proces 5-ciu hitlerowców, skazanych na karę śmierci.

Podejrzany o napad rabunkowy

zmarł z odniesionych ran, zadanych przez policję

LONDYN (ATE) — Z Waszyngtonu donoszą, o procesie 5 urzędników policji, którzy aresztowali pewnego młodzieńca nazwiskiem Stark pod zarzutem udziału w napadzie rabunkowym. W czasie przesłuchania był on tak poturbowany, że zmarł wskutek odniesionych ran.

Lekarz sądowy dr. Schultz stwierdził podczas obdukcji zwłok, że Stark miał szereg ran ciętych na twarzy i głowie i że był bity narzędziami tępemi. Po za tem wybito mu kilka zębów. Całe ciało, nie wyłączając stóp, było pokryte ranami. Twierdzenie obrońcy policjantów, jakoby Stark poniósł śmierć naskutek nieszczęśliwego wypadku zostało obalone.

Wyrazy podziękowania od P. Prezydenta Rzplitej

Pan Prezydent Rzeczypospolitej polecił szefowi kancelarji cywilnej złożyć, za pośrednictwem prasy, wyrazy serdecznego podziękowania wszystkim tym, którzy wzięli bądź osobiście udział w uroczystościach pogrzebowych, bądź dali wyraz swemu żalowi po stracie Małżonki Pana Prezydenta R. P. ś. p. Michaliny Mościckiej.

W szczególności Pan Prezydent R. P. polecił złożyć podziękowanie duchowieństwu katolickiemu, przedstawicielom duchowieństwa innych wyznań, przedstawicielom organizacyj i instytucyj społecznych, wreszcie niezliczonym rzeszom publiczności, które oddały pośmiertny hołd ś. p. Michalinie Mościckiej.

Władze fińskie kończą śledztwo

w potwornej sprawie satanistów

bezczeszczących zwłoki w Malmö

Wszyscy mamy w pamięci potworne odkrycie na cmentarzu w Malmö w Finlandji. Znaleziono tam w ohydny sposób pokrajane ciała zmarłych, a w stawku w tej że miejscowości odcięte członki kilkunastu osób.

Długi czas prowadzone śledztwo nie dawało żadnych wyników. Wreszcie po nitce do kłębka i potworna tajemnica zbrodni w Malmö została odsłonięta.

Śledztwo odsłaniające liczne i wstrząsające szczegóły zbrodni, ma się już ku końcowi.

Jak donoszą z Finlandji, główna winowajczyni bezczeszczenia trupów Idy Widen zawarła koło nowego roku 1931 znajomość z „czarownikiem" Kalio. Znajomość ta zawarta została w sposób niezwykły. Oto w mieszkaniu „czarownika", do którego Widen udała się po poradę, przekonała się, że ma dar jasnowidzenia rzeczy przeszłych i przyszłych. W czasie jednego z transów tajemny głos podpowiedział jej, że może zyskać cudowną moc, jeśli będzie miała w swem rozporządzeniu części ciała ludzkiego.

Od tego czasu Widen wraz z Kalio poczęli odwiedzać cmentarz i tu przy zachowaniu satanistycznego rytuału odgrzebywali mogiły i obcinali nieboszczykom członki, które przenosili nad stawek w Malmö i ukrywali w wodzie. W ten sposób zbezcześcili wiele trupów, a w czasie jednego z ostatnich odwiedzin na cmentarzu aż siedemnastu.

Jak wynika z zeznań oskarżonych, pewnego razu przy odcinaniu nogi zwłokom nieboszczyk poruszył się. Zbrodnicza para uciekła wtedy.

Cała Finlandja rozbrzmiewa obecnie sensacyjnemi wieściami o zbrodni w Malmö i oczekuje ukarania zbrodniczych satanistów.

Dżuma w Argentynie

SAN LUIS (Argentyna), PAT. — W miejscowym szpitalu, jeden z chorych, jak wykazały przeprowadzone badania zmarł na dżumę. Powiadomione o wypadku władze sanitarne zastosowały natychmiast wszelkie możliwe środki ostrożności, celem zapobieżenia szerzeniu się tej strasznej choroby. Dom, w którym mieszkał chory, został z rozporządzenia władz sanitarnych spalony, wszyscy zaś jego mieszkańcy izolowani.

GIEŁDA

W obrotach pozagiełdowych, dolar — 8,90 i pół, rubel złoty — 4.66

Powiększenie obiegu bilonu w Polsce

Rząd, po porozumieniu się z Bankiem Polskim, postanowił zwiększyć obieg bilonu o 76 miljonów złotych.

Krok ten tłumaczony jest potrzebami życia. Wskazują bowiem, że obecny obieg bilonu jest niewystarczający. Oczywiście, iż decyzja ta nie oznacza bynajmniej, iż rząd zamierza zrezygnować z pokrycia złotowego.

Żadne zmiany polskiej polityki walutowej nie są projektowane. Zwiększenie tłumaczy się tem, że gdy przyjęto za podstawę wysokość bilonu 12 zł. na głowę w planie stabilizacyjnem i ustalono wysokość bilonu na 320 miljonów zł. ludność Polski wynosiła 27 miljonów. Obecnie ludność wzrosła o 6 miljonów, zachodzi więc potrzeba zwększenia bilonu właśnie o 76 miljonów zł.

Wypuszczenie bilonu nastąpi w miarę potrzeby. Wkrótce ukażą się w bilonie 10-cio złotówki, a później nowe dwu i pięciozłotówki.

Tajemnicze zabiegi w Ameryce

dyplomacji europejskiej wobec wyborów prezydenta

Według jednego z dzienników amerykańskich, bawił w Ameryce gubernator Banku Anglji pod fałszywem nazwiskiem prof. Skinnera w towarzystwie zaufanego wielkiego finansisty amerykańskiego Morgana. Norman osiadł w mieście Maine gdzie odbył szereg potajemnych konferencyj. Jak twierdzi owo pismo, tajemnicze narady Normana mają na celu uniemożliwienie wyboru Roosevelta na prezydenta Stanów, gdyż przy nim nie może być mowy o skreśleniu długów wojennych. Norman zapewne pieniędzmi europejskiemi usiłuje poprzeć kandydaturę Hoovera.

Ważne zmiany w sądownictwie

Wczoraj ukazały się trzy nowe rozporządzenia P. Prezydenta, wprowadzające ważne zmiany w ustroju sądownictwa. Według tych rozporządzeń, władze mogą do dn. 31. X. b. r. przenosić sędziów bez ich zgody do innych sądów lub w stan spoczynku. Drugi dekret znosi stanowiska naczelników sądów grodzkich i wprowadza możliwość zawieszenia sądów przysięgłych na okres 6 miesięcy. Wreszcie trzeci dekret sprawy o występki i wykroczenia poddaje do rozpatrzenia sądom jednoosobowym.

W związku z temi dekretami 1 września odbędzie się posiedzenie Zarządu Zrzeszenia Sędziów, a 20 ogólnopolski Zjazd sędziów.

Opłakane rezultaty gospodarki

samorządów miejskich

Miljardowe długi i zaleganie z opłatą pracowników

oto tło niezadowolenia i strajków

Sytuacja finansowa samorządu stołecznego, a więc największej i najbogatszej jednostki samorządowej, występuje w całej ostrości na tle obecnego strajku pracowników miejskich. Stolica zalega od kilku miesięcy z wypłatami poborow i nie posiada gotowki do uiszczenia ich. Jest to zobowiązanie najpilniejsze. Już ten sam fakt mówi, jak źle jest w kasie miejskiej. Wszystkie niemal inwestycje leżą odłogiem, niema pieniędzy na bibljoteki, szkoły i pomoc dla najbiedniejszych. W szpitalach oszczędności i t. d.

Samorząd warszawski nie chodzi bynajmniej w pojedynkę, conajwyżej przoduje innym. Sytuacja finansowa samorządów jest wprost katastrofalna. Wiele miast znajduje się w stanie niewypłacalnym, a nawet zmuszone są do dopuszczenia swojego majątku na licytację. Protestowane weksle miejskie nie należą dziś do rzadkości. Samorząd jęczy pod naciskiem długów i wzywa rozpaczliwie pomocy.

Byłoby niezmiernie uproszczonem, żeby taki stan rzeczy położyć jedynie na karb złej gospodarki samorządów, względnie wogóle instytucji samorządowej. Trzeba stwierdzić zupełnie objektywnie, że i winę w obecnym stanie rzeczy ponosi rząd, jako władza nadzorcza wraz z parlamentem, jako czynnikiem prawodawczym. Do załamania się całkowitego finansów instytucyj samorządowych przyczynił się oczywiście kryzys gospodarczy. Jeśli do tego dodamy nieostrożną i fałszywą politykę gospodarczą samorządów, będziemy mieli wszystkie przyczyny obecnego stanu rzeczy.

W tej chwili niema samorządu, któryby nie kołatał o pomoc. W roku 1930-31 216 miast zamknęło swoje budżety deficytem. W roku 1930-31, 216 miast zamjeszcze pogorszył, mimo, iż wprowadzono poważne oszczędności i redukcje personalne. Miasta wstrzymały wszystkie inwestycje i nie kończyły nawet robót pilnych. Czem się to tłumaczy? Nad miernem zadłużeniem i złem zużyciem pożyczek. Wystarczy wspomnieć, że na spłatę pożyczek i zobowiązań budżety samorządowe przewidywały na rok 1931-32 213 miljonów 791 tysięcy, nie licząc Warszawy. (Roczna obsługa długów Warszawy przekracza 12 miljonów). Suma ta oznacza 62 procent budżetów zwyczajnych!

Stan zadłużenia samorządu wynosił na dzień 31 marca 1931 roku: 2 miljardy 221 miljonów 400 tysięcy zł. Dług samorządu warszawskiego wynosi 242 miljony 200 tysięcy. Takie rozdęcie zadłużenia było możliwe dzięki temu, iż w okresie pełnej konjunktury udzielano samorządom nietylko ile chciały pożyczek, ale wprost narzucano je im. Rozpoczął się okres dzikich i bezplanowych inwestycyj. Władze miejskie nie były dojrzałe, ani przygotowane do tych prac, które z tytułu pożyczek, władze nadzorcze na nie nałożyły. Budowano więc rzeczy najmniej potrzebne, ot „na wyrost", bo pieniądze trzeba było wydać. Ale najważniejszem jest to, że budowano drogo i źle. Taka np. piekarnia i cegielnia miejska w Warszawie należą do typowych przykładów polityki inwestycyjnej samorządów.

W tej właśnie dziedzinie było szerokie pole pracy dla władz nadzorczych. Niestety, w odpowiednim czasie była ona niemal całkowicie zaniedbana. Na samorządy nałożyło państwo zkolei nowe obowiązki, a pozbawione one zostały pewnych źródeł dochodowych. Kryzys gospodarczy zmniejszył dochody samorządów, ale zwiększył zakres ich prac. Obowiązek zatrudniania bezrobotnych, niesienie pomocy pozbawionym wszelkich zarobków i t. p. I tutaj trzeba powiedzieć, że samorządy, które potrafiły w okresie konjunktury naoślep wydawać grube miljony, nie były przygotowane na kryzys. Żadna instytucja nie wykazała takiego braku przewidywania i takiego optymizmu, jak samorządy.

Rząd w ostatnim roku zwrócił baczniejszą uwagę na politykę finasową samorządów, wydał szereg rozporządzeń, mających na celu uzdrowienie dotychczasowej gospodarki. Jest to proces długi, tem dłuższy, im cięższa jest sytuacja gospodarcza państwa. W tej chwili w wielu samorządach jest konieczna pomoc doraźna rządu. Pomoc ta jednak nie powinna się ograniczyć do pożyczki, ale również do sposobu zużycia pieniędzy. Teraz nie czas na dalsze eksperymentowanie. Trzeba wreszcie gospodarkę oddać w ręce ludzi fachowych i odpowiedzialnych, gdyż w przeciwnym razie konieczna i racjonalna instytucja samorządu zostanie spaczona i zrujnowana. Samo rząd musi być utrzymany i nie można dopuścić do takiego stanu rzeczy, jaki panuje obecnie, że prywatni wierzyciele licytują majątek publiczny!

Oto rezultat dotychczasowej gospodarki!

B. H.

Awantura na „Hetmanie"

Krewki robotnik pobił zawiadowcę żeg'ugi

Rozległ się piskliwy gwizdek, statek „Hetman" przybił do brzegu. Kapitan stanął na baczność, zasalutował i powitał wchodzącego na pokład zawiadowcę Żeglugi Zarządu Dróg Wodnych w Płocku, p. Władysława Zambrzyckiego.

W czasie rozmowy zawiadowcy z kapitanem, wpadł na statek jakiś wzburzony mężczyzna i podbiegłszy do obu panów, puścił w ruch język.

— Ty szarpany w dziąsło doktorze, będziesz wydawał o mnie opinję?

Zanim zorjentowano się o co chodzi i dla kogo wymysły te są przeznaczone, awanturnik uderzył p. Zambrzyckiego pięścią w głowę, twarz, kopnął w brzuch, a następnie, gdy zawiadowca zaczął się bronić, szarpiąc z napastnikiem, ten dobył z kieszeni kamień i rzucił w Zambrzyckiego, który na szczęście uchylił się.

Sprawcą napadu był robotnik Bronisław Rutecki, który na rozprawie sądowej przyznał się do wymyślania i pobicia Zambrzyckiego, zaprzeczył tylko, by przyniósł na statek kamień i rzucił nim w poszkodowanego...

Ale wszystkie zarzuty zostały oskarżonemu w zupełności udowodnione, bowiem całe zajście prócz Zambrzyckiego opisali przygodni świadkowie — pasażerowie statku, którzy widzieli, jak Rutecki rzucił kamieniem.

Na usprawiedliwienie swego czynu podsądny dowodził, że nie mógł dostać pracy, ponieważ Zambrzycki wydał o nim nieprzychylną opinję.

Poszkodowany mówił, że nigdy nic podobnego nie miało miejsca, Rutecki otrzymał pracę, a jest mocno wątpliwą rzeczą, czy mógłby ją otrzymać, gdyby świadek jako zawiadowca Żeglugi, uwziął się na niego i psuł mu wszędzie markę.

Te wyjaśnienia były w sprzeczności z zeznaniami dwóch ludzi, którzy zeznali, że Zambrzycki podchodził do nich i opowiadał, że nie pozwoli Ruteckiemu pracować, a będzie mu szkodził.

Sąd nie uwierzył tym zeznaniom, stwierdzając, że nawet gdyby tak było, to Zambrzycki byłby w zupełności do tego upoważniony, gdyż wiedział, że Rutecki przechowywał w swym domu złodziei i skazany za to został na miesiąc więzienia.

Zachowanie się Ruteckiego podczas rozprawy nie wykazywało odrobiny skruchy i robiło wrażenie, że uważa on, iż miał prawo w ten sposób zareagować. Dostał za to dziesięć miesiecy więzienia.

W sądzie apelacyjnym musiał długo pocić sie i zarzekać, że w przyszłości nigdy czegoś podobnego nie popełni, zanim zmniejszono mu karę do pół roku więzienia.

Majątek w podzięce

za rozkoszną podróż

Pani Lederer - Schwade znana jest wśród wyższych sfer towarzyskich Wiednia, jako osoba młoda, piękna i dystyngowana. Pewien oficer, człowiek o czarującej powierzchowności, Paweł Luppan, przekonał się poza tem, że piękna wiedenka posiada gorące serce, okazuje wiele uzdolnień w zakresie pocałunków i pełna jest oddania bez zastrzeżeń.

Spostrzeżenia te p. Luppan poczynił podczas wspaniałej przejażdżki samochodem pani Lederer. Rycerskie czyny współtowarzysza przejażdżki, podczas której piękna para zwiedziła (zresztą bardzo powierzchownie) Szwajcarję, Włochy i Francję — wzbudziły w pani Lederer niecodzienne uznanie. Chcąc dać mu wyraz zrobiła towarzyszowi prezent: podarowała mu gorącą z uściskiem rączką 400.000 szylingów.

Któż w Austrji teraz jest bogaty? Oficerowie nie należą do klasy miljonerów. Pan Luppan więc pieniądze wziął i serdecznie pożegnał swą miłą towarzyszkę, która śpieszyła już do domu.

Nabrawszy zamiłowania do podróży, jeździć zaczął dalej (miał za co!), starając się podtrzymać opinję dzielnego kawalera wśród spotykanych dam w różnych uroczych zakątkach Europy.

Rodzina pani Lederer, ochłonąwszy z podziwu nad czynem swej drogiej krewnej, sądziła, że djabli ją wezmą z wściekłości. Chciała najpierw osadzić drogą kuzynkę w domu warjatów, póki ktoś rozsądniejszy nie doradził wytoczenia procesu panu Luppanowi o wyłudzenie 400 tysięcy.

— O wyłudzeniu nie może być mowy — powiada adwokat oficera. — Dar jest darem i prawnie wszystko jest w porządku. Mój klient jest jednak człowiekiem rycerskim i gotów jest dać państwu 100 tysięcy. Radzę się zgodzić i to możliwie prędko, bo jeśli mój klient będzie w dalszym ciągu jeździł w takiem tempie, jak dotychczas, czyniąc prezenty damom, jako człowiek niezwykle uprzejmy — to nie będzie w możności oddać państwu nawet tysiąca szylingów.

Zdaje się, że rodzina się bardzo szybko namyśli.

Miljon złotych

Bardzo znamienną cechą planu 26-tej Państwowej Loterji Klasowej, której ciągnienie I klasy rozpoczyna się w listopadzie, jest to, że zwiększa on ogromnie ilość wygranych.

Dotychczas losów wygrywających 15 tysięcy złotych, było w każdej klasie od pierwszej do czwartej po jednym. Teraz w pierwszej będzie dwa, w drugiej — cztery, w trzeciej — pięć, w czwartej — sześć. Jeszcze większy jest wzrost losów. wygrywających mniejsze, ale znaczne sumy. I tak 5.000 zł. wygrywać będzie w pierwszej klasie pięć losów, w drugiej — sześć, w trzeciej — dziesięć, — w czwartej — dwanaście. 1000 zł. wygrywało dawniej w każdej klasie do czwartej po trzy losy, teraz wygrywać będzie w pierwszej — 15, w drugiej — 20, w trzeciej — 25, a w czwartej — 30. Wreszcie wzrost ilości wygranych losów po 400 jest więcej, niż pięciokrotny.

Do tego dochodzą główne wygrane 100 tysięcy w I klasie, 150 w II klasie, 200 tys. w III klasie i 250 tys. w IV kl. Wreszcie największa niespodzianka w piątej klasie.

Niespodzianka ta wyraża się sumą 1 miljona zł., jako główna wygrana.

Dotychczas było tak, że miljon złotych można było wygrać „w najszczęśliwszym wypadku"" t. zn., gdy na ten sam los padła główna wygrana i największa premja. Ale to się nigdy nie zdarzyło. Teraz będzie tak, że któryś los musi wygrać miljon złotych bez zadnych zastrzeżeń, bo miljon złotych to główna wygrana w piątej klasie.

Poza wygranemi sa naturalnie nadal utrzymane premje, których suma wynosi w pierwszej klasie 40.000 zł., w drugiej — 50.000, w trzeciej — 70.000. w czwartej — 100.000, a w piątej — 400 tysięcy złotych.

Wesoły Kącik

W APTECE.

W aptece u pana Zdzierskiego pracuje pan Romuald Proszeczek, młodzieniec pełen humoru i bardzo wiele rokujący na przyszłość.

Pan Proszeczek ekspedjuje na razie tylko gotowe preparaty.

Do apteki wchodzi otyła jejmość i prosi o winko pepsynowe dla dzieci.

— Przecież pani już wzięła trzy flaszki tego winka dzisiaj, — mówi ekspedjent — poco pani aż tyle, wszak dzieci się mogą rozchorować.

— Ach, panie drogi, — jejmość na to — poprzednie flaszki wypił mój stary, jak tylko przeczytał, że to wino. Wypił, niechby tam sobie już wypił, ale łobuz jeszcze się rozchorował i musiałam wezwać doktora. Taki to los z pijakami.

Przed kontuarem staje pan Ajzenajer i p. Medahenlib. Pierwszy z nich bierze pana Proszeczka na stronę i mówi na ucho:

— Jabym chciałem, ze swoim przyjaciołem, no wisz pan, trochę tego, odmłodnięcia. Taki lek można nam dać za złotówkę, no za dwa złote tyż... tylko działanie należy być szybko i skuteczne.

Pan Proszeczek nalał dwie szklaneczki rycyny i polecił duszkiem wypić przybyłemu.

Z radością w sercu wyszli przyjaciele na ulicę. Nie uszli jednak daleko, gdy pan Ajzenajer zatrzymał gwałtownie przyjaciela.

— Uj, Medahenlib ja już całkiem odmłodniałem, ja jestem małeńkie dziecko — zawołał — mnie natychmiast trzebno tuzin pieluszek niemowlęcych.

Zkolei młoda panna pyta:

— Czy mogę dostać papieru klozetowego?

Pan Proszeczek, zna jedną z **kardynalnych zasad kupieckich, że jeśli jakiegoś artykułu brak, należy zastąpić go innym,** mówi więc prosto z mostu, bez namysłu:

— Niestety, proszę szanownej pani, higjenicznego papieru zabrakło, ale mogę służyć glaspapierem.

Do apteki, chwiejnym krokiem włazi jakiś zawiany facet:

— Ppanie pppigularzu woła już od progа — spirytusu raz i jeszcze raz, tylko szybko, bbo żona ppanie dzieju czczeka.

— Ależ panie, tu nie restauracja. my spirytusu nie sprzedajemy — mówi oburzony pan Proszeczek.

— Nnie wwróć pan głowy, jeszcze ttak ppijany nnie jjestem, żebym nnie wiedział gdzie jestem i co robbie. Spirytusu kamforowego do cholery dadawać, bbo żone szszyje bboli i trzeba wysmarować.

Przed obliczem pana ekspedjenta staje wreszcie 3-letni Wacek Wybuj, synek Marcinowej, tej z suteryny z przeciwka.

Matka dała chłopcu dziesiątkę i pewnie z 5 minut uczyła. że ma powiedzieć w aptece w ten sposób: „Dzień dobry panie aptekarzu, proszę za 10 groszy maści, bo mojej mamie na nodze zrobił się wrzód." Wackowi po tej lekcji pomieszało się całkiem w jego małej główce i powiedział tak:

— Dzieńdobry panie maść, proszę za 10 groszy wrzód, bo mojej mamie na nodze zrobił się aptekarz.

Zastępca.

NAPIĘTNOWANA

Prawdziwe dzieje nieszczęśliwej kobiety

Pola przeraziła się i postanowiła zwierzyć ze wszystkiego Stefanowi, aby ją ratował.

Ale może to też będzie niedobre. Stefan kochał ją bardzo. Gdy się dowie, że ktoś ją tak bezczelnie prześladuje, gotów tamtemu zrobić awanturę. Może z tego jeszcze wyniknąć pojedynek...

Drżała na samą myśl o tem, że z jej powodu mogłaby się polać krew.

Zachowała więc milczenie.

Minął jeszcze tydzień. Pola niepokoiła się bardzo, ale... milczała...

Nazajutrz po ostatnim terminie, wyznaczonym przez Merta, Stefan przyszedł do Poli dziwnie zdenerwowany.

Była właśnie niedziela. Stefan chciał zabrać Polę na Dynasy, gdzie właśnie były ciekawe wyścigi cyklistów, zwłaszcza mecz między dwoma sprinterami, z których jeden miał mistrzostwo Polski, a drugi chciał mu je odebrać i był jeszcze w tym sezonie niezwyciężony. Pola nie spała wszakże przez całą poprzednią noc, drżąc przed tym dniem, była więc bardzo wyczerpana i zmęczona. Skończyło się na tem, że nie poszła na owe wyścigi.

Stefan poszedł więc sam, przyrzekając, że przyjdzie do niej natychmiast po wyścigach i wieczór spędzą wspólnie.

Gdy wrócił, odrazu dostrzegła, że Stefan ukrywa przed nią coś bardzo poważnego, pomimo jawnych wysiłków zachowania spokoju.

Zapytywała go o przyczynę. Dawał odpowiedzi wymijające. Nie udało jej się nic od niego wydobyć.

Wyszedł dość wcześnie, nie mówiąc, dlaczego.

Nazajutrz wpadł tylko na chwilę, mówiąc, że ma bardzo mało czasu.

Na odchodnem całował i ją ściskał tak czule, jakby się żegnał przed daleką podróżą, przyczem szepnął:

— Moje złotko kochane, mój skarbie...

Pola była jeszcze zbyt mało przyzwyczajona do „życia wytwornego“, aby zrozumieć, że pod maską uśmiechu i obojętności kryją się niekiedy wielkie dramaty.

Nie wiedziała więc, co się stało na Dynasach. Stało się zaś, że znajdujący się w przylegających do siebie lożach Arecki i Mert pokłócili się co do szans we wspomnianym meczu cyklistów. Od błahej sprzeczki doszło do ostrej wymiany zdań. Na pewne powiedzenie Areckiego Mert odparł ordynarnym wymysłem, za co natychmiast poczuł rękę Areckiego, spadającą na jego policzek.

Oczywiście, wymiana biletów wizytowych. Pojedynek.

Mert, mając wybór broni, zaproponował pistolety, bo był znakomitym strzelcem.

Sekundanci Stefana byli nieco zaniepokojeni ostremi warunkami, proponowanemi przez sekundantów Merta.

Zazwyczaj bowiem tego rodzaju pojedynki kończą się zrobieniem kilku dziur w powietrzu i śniadaniem, obficie zakrapianem alkoholem.

O dziesiątej wieczór Pola miała tajemniczy telefon, brzmiący:

— Jest jeszcze czas... Powiedz, że się zgadzasz...

Nie wiedząc, o co chodzi, rzuciła słuchawkę, nie odpowiadając nawet słowem.

Nazajutrz z rana Stefan nie telefonował. Nie zaniepokoiło jej to, ponieważ nie zawsze dzwonił do niej rano.

Wreszcie rozległ się dzwonek telefoniczny. To, zapewne, Stefan...

Niestety, rozległ się obcy męski głos, zawiadamiający żałośnie:

— Proszę natychmiast przyjechać do mieszkania pana Areckiego. Prosi panią do siebie, bo jest... umierający...

Pola o mało nie zemdlała. Znalazła jednak jeszcze tyle panowania nad sobą, że natychmist pośpieszyła do Stefana.

Wpadła do niego i zastała go w łóżku, bladego, jak kreda, i wpatrującego się w drzwi, jakby stamtąd spodziewał się zbawienia.

Gdy ujrzał Polę, radosny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Szepnął:

— Jestem szczęśliwy, bardzo... szczęśliwy, że przyszłaś...

Pola uklękła przed jego łóżkiem. Wybuchnęła rzewnym płaczem.

W tej samej chwili Stefan stracił przytomność. Po godzinie ją odzyskał, spojrzał na Polę oczyma, już przyćmionemi całunem śmierci i szepnął:

— Bardzo, bardzo ci dziękuję, że przyszłaś... Kocham cię... jak nigdy nikogo...

Były to jego ostatnie słowa. Wnet potem rozpoczęła się agonja, szybko zakończona zgonem.

Teraz dopiero Pola rozejrzała się dookoła i ujrzała w głębi pokoju młodzieńca, którego przedtem nawet nie dostrzegła, tak była wpatrzona w Stefana.

Był to lekarz, obecny przy pojedynku ze strony Stefana.

Młody, postawny, wysoki, o łagodnych, poczciwych rysach i bardzo smutnym wyrazie twarzy, ujął Polę tem, że tak czule ją uspakajał i pocieszał słowami, tchnącemi szczerą dobrocią. Potem pożegnał się, chcąc ją zostawić samą z jej bólem, aby mogła się wypłakać bez świadków. Ale nie mógł się powstrzymać, by na progu jeszcze się nie obejrzeć... i nie spojrzeć na Polę wzrokiem, pełnym szczególnego zainteresowania...

Możnaby pomyśleć, że już ją gdzieś kiedyś widział, albo, że mu kogoś przypominała. Może dlatego, że Pola była bardzo podobna do swej matki Krystyny, a ów lekarz był... Ryszardem Marskim...

Tyle czasu przecież interesował się gazetami z okresu procesu Krystyny, pełnych fotografij z przed dwunastu lat. Dlatego odrazu uderzyło go to podobieństwo.

Pola pozostała przy zwłokach zmarłego do następnego dnia, wciąż jeszcze nie wiedząc, jak się to wszystko stało.

Służba też nie umiała ją objaśnić.

Nazajutrz znów przyszedł Ryś Marski. Poco przyszedł? Gdyby go się kto o to zapytał, zapewne, nie umiałby odpowiedzieć. Czuł wszakże, że pcha go tam jakaś tajemnicza siła.

Pola wcale się nie zdziwiła, widząc, że przyszedł. Skorzystała ze sposobności, aby się dowiedzieć, jak się to wszystko stało.

— Pojedynek — rzekł krótko Ryś.

— O co?

— Jakaś głupia kłótnia na wyścigach cyklistów.

— A kto był przeciwnikiem mojego przyjaciela? Kto jest jego zabójcą?

— Jakiś bankier... podobno bardzo bogaty... Mert.

Pola drgnęła. Pobladła, jak kreda. Padła na fotel. Zamknęła oczy, z których trysnęły łzy. Pełen współczucia dla jej bólu, Ryś zachował głębokie milczenie.

Mert dotrzymał słowa. Zemścił się...

— — — — — — — — —

Stefan Arecki przed pojedynkiem spisał testament. Nie miał bliskich krewnych. Podzielił więc swój majątek w ten sposób: połowę przeznaczył swym bardzo dalekim ubogim krewnym, drugą połowę zapisał Poli.

W ten sposób ni stąd ni zowąd Pola stała się zamożną niewiastą.

Nosiła żałobę po Stefanie, chcąc zaś zerwać z dotychczasowem otoczeniem, opuściła swoje mieszkanie i wynajęła sobie skromniejsze na Saskiej Kępie w nowej dzielnicy. Okna jej wychodziły na Wisłę.

Najbardziej ją dręczyła nieobecność Toli. Postanowiła ją odszukać za wszelką cenę.

Z dawnych znajomych bywało u niej tylko dwóch najbliższych przyjaciół Stefana, którzy byli jego sekundantami w pojedynku, a z nowych — Ryś Marski.

Pięknie zakwitające wdzięki niewieście Poli wywarły na nim potężne wrażenie. Początkowo nie zdawał sobie z tego sprawy, stopniowo wszakże czuł nieodpartą potrzebę częstego widywania Poli. Coprawda, i wtedy jeszcze mu przez myśl nie przeszło, aby mógł się w niej zakochać.

Nie przypuszczał, aby mógł kochać wogóle. Wciąż jeszcze się nie uspokoił po zerwaniu z ojcem. Wykryta zbrodnia ojcowska była dlań nieustannie krwawiącą raną, zalewającą serce tak, że nie miało doń dostępu żadne tkliwsze uczucie dla kogokolwiek.

Zdumiewało go wciąż tylko to dziwne podobieństwo Poli do Krystyny Łazarskiej.

Bywał więc u Poli bardzo często, nie mając najmniejszego pojęcia, że to córka Krystyny.

Pola natychmiast odrazu domyśliła się, kim jest Ryś. Kilkoma zręcznemi pytaniami odrazu stwierdziła, że to syn człowieka, który posłał jej matkę na kaźń.

Nie przenosiła wszakże na syna nienawiści, jaką żywiła dla ojca. Przeciwnie, od pierwszej chwili serduszko jej uderzyło żywiej dla tego młodzieńca, o takich myślących, głębokich i bezdennie smutnych oczach. Instynkt kobiecy wyczuwał w nich jakąś tajemniczą ranę, bardzo bolesną, może nawet śmiertelną, a z pewnością nieuleczalną, bo nigdy nie ujrzała, aby jego oblicze opromieniło się uśmiechem.

Jakoś tak się urządzał, że nigdy nie przychodził sam. Zawsze sprowadzał ze sobą jednego lub drugiego z najbliższych przyjaciół Stefana, mówiąc przytem, że jakoby spotykali się przypadkowo i postanowili wspólnie ją odwiedzić.

Trwało tak całą zimę.

Na wiosnę odwiedziny Rysia nagle się urwały.

Nie uprzedzał Poli, że gdzieś wyjeżdża, ani że nawał pracy uniemożliwia mu przybycie do niej.

Było to tem dziwniejsze, że ostatnio bywał coraz częściej, dwa, trzy razy na tydzień, niekiedy nawet codziennie.

Nic dziwnego więc, że Pola była tem wszystkiem zdumiona.

Zapytywała nawet jego przyjaciół, czem sobie to wytłumaczyć.

Nie umieli jej dać odpowiedzi.

Powiedziano jej tylko, że Ryś jest ostatnio jeszcze bardziej smutny i przygnębiony, niż dawniej, unika wszystkich znajomych, nie chadza nawet już ani do teatrów ani do kin, zrobił się strasznym odludkiem i samotnikiem.

U siebie też nikogo nie przyjmował, nawet, wbrew swym dawniejszym zwyczajom, zaniechał spacerów po Alei Ujazdowskiej.

I teraz dopiero Pola poczuła, że tęskni za Rysiem. Musiał więc jednak zakraść się do jej serduszka...

Tęskno jej było za nim... i nudno. Dni wlokły się jak żółwie, nieskończenie dłużąc się i ciążąc Poli niewypowiedzianie. Teraz przekonała się, że dawniej tylko żyła nadzieją ujrzenia Rysia.

Początkowo tego nawet nie uświadamiała sobie myśląc, że wogóle samotność jej ciąży.

Całemi godzinami przesiadywała sama w swoim pokoju, czytając lub marząc, spoglądając na szare odmęty wiślane, po których snuły się tam i zpowrotem statki i łodzie, berlinki i tratwy.

I myślała sobie:

— Co się stało? Dlaczego przestał przychodzić?

I stopniowo... mizerniała, oczy podkrążały się sinemi obwódkami, policzki zapadały. Robiła wrażenie wyczerpanej lub bardzo zdenerwowanej.

Gdy zaś minęły dwa tygodnie, a Ryś wciąż nie dawał znaku życia, Polą zaczęła aż... popłakiwać z tęsknoty.

Teraz wreszcie uprzytomniła sobie całkowicie i dokładnie: kochała go!

Gdy to zrozumiała, gdy się z tego zwierzyła sama sobie, poczuła się szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem.

Powiedziała sobie bowiem, że jest już dla życia uczciwego stracona. Czuła się niegodna miana żony i matki. To było już jej raz na zawsze wzbronione. Owszem były okoliczności łagodzące: groźba nędzy, nieświadomość, ale fakt pozostał faktem i to już bezpowrotnym i nieubłaganym. Była nieślubną kochanką, czuła się więc już shańbioną i upadłą kobietą.

I to właśnie czyniło ją tak bardzo nieszczęśliwą.

A mimo to chwilami czuła się... bardzo, bardzo szczęśliwa. Napełniało ją uczucie przedziwnej błogości, sącząc w krew radość i upojenie. Było to uczucie, zupełnie jej dotychczas nieznane. Stefana Areckiego nie kochała nigdy. Teraz zdawała sobie z tego sprawę zupełnie dokładnie. Uczucie jej dla niebo było tylko głęboką wdzięcznością i... rozbudzonym nagle szałem zmysłów.

Dopiero Rysia kochała. Kochała prawdziwie. Jego pierwszego.

Kochała go w skrytości serca, nawet nie marząc o tem, aby mu się z tego zwierzyć. Kochała, nawet nie roiąc snów o wzajemności. Przeciwnie, gdyby nawet dowiedziała się z pewnością, że jej nie kocha i nie pokocha nigdy, jednak nieprzestałaby go kochać. Ani odrobinki uczucia dlań nie straciłaby...

Przeżywała teraz radosne... cierpienia i bolesne... [illegible]ści.

Była to męka... ale rozkoszna.

I już nie myślała o niczem, poddając się tylko cała niewymownej słodyczy tego przecudownie słodkiego i odurzającego uczucia. W jej życiu ostatniem, tak ciemnem i ponurem, błysnęła nagle promienna iskierka, ku której tęsknie wyciągała ramiona.

Znów minęły dwa tygodnie.

A Ryś ciągle nie dawał znaku życia...

Przerażało to jednak Polę. Drżała na myśl, że mógł zupełnie o niej zapomnieć.

Tak tęskniła teraz za jego smutnemi oczami. Takby jej było dobrze, gdyby mogła teraz w nie patrzeć.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że ostatnio nie schodziła z jej ust piosenka, słyszana niegdyś w „Morskiem Oku“...

Kupiła sobie nawet płytę z tą piosenką i cały dzień niemal grała ją, nucąc:

„Tyś mój cały świat,
Tyś jeden serce moje skradł
I wszędzie pójdą za mną w świat
Twe smutne oczy...
Tyś tęsknotą mą,
Gdy zasnę, co noc mi się śnią
I widzę zdala, jak za mgłą
Twe smutne oczy...“

Dalszy ciąg nastąpi

JES

W cztery oczy

Intymne rozmowy z Czytelnikami

P. R. A.

gorzko narzeka na swoją niedolę, pisząc:

„Mam lat 34. Przed 10 laty poznałam i pokochałam z wzajemnością pewnego kaprala. Gdy wyszedł z wojska, szukał pracy, abyśmy mogli się pobrać. Znalazł, pracował, oszczędzał i mnie oddawał. Niestety, był tak wycieńczony, bo uciekł z niewoli bolszewickiej, że często zapadał na zdrowiu. Za uciułane pieniądze kazał mi wynająć mieszkanie w Łodzi, a sam mieszkał przy ludziach. Pomału szykowaliśmy się do uroczystego dnia ślubu, na co był najwyższy czas, bo wkrótce miałam zostać matką. Cieszył się narówni ze mną i był bardzo dumny, że będzie ojcem. Pracował w kantorze fabrycznym. Pewnego razu wyszedł na podwórze bez palta. Za ziębił się tak mocno, że umarł na zapalenie płuc. Po trzech miesiącach powiłam córkę. Cierpiałam strasznie. Uciułane pieniądze akurat starczyły na pogrzeb. Zostałam bez wyjścia.

Gdy dziecko miało dwa miesiące, zachorowało. Byłam bliska obłędu. Przyszła mi wtedy z pomocą jedyna moja przyjaciółka, również panienka, pracująca w fabryce. Łożyła dla mnie na wszystko i nieraz wraz ze mną przymierała głodem, ażeby tylko dziecku nic nie brakowało. Gdy dziecko miało dwa lata i wyszło się bawić, inaczej nie było przez wszystkich nazywane, jak „bękart". Serce mi się rozdzierało, bo cóż to maleństwo winne? Ale jeszcze dużo innych nieszczęść przeżyłam. Bywało, że nie starczało na kawałek chleba. Postanowiłam wyjechać do Warszawy, bo tu miałam ojca i macochę. Ojciec przyjął mnie. Niedługo dostałam posadę woźnej w biurze. Każdy grosz łożyłam na dziecko. Zarabiałam 100 zł., za przedszkole płaciłam 30 zł., za życie 50 zł., a 20 zł. na ubranie dla córeczki. Przyjaciółka moja poszła do służby i w dal szym ciągu mnie wspierała. Dziecko cierpiało istne katusze, gdy mnie w domu nie było. Do zakładu oddać nie mogłam i nawet nie chciałam, bo całem mo jem ukojeniem było, gdy mogłam wieczorem przytulić je do piersi.

Po półtorarocznej pracy zostałam bez powodu zredukowana. Poszłam do znanego chirurga za młodszą. Po 8 miesiącach, gdy dowiedzieli się, że mam córeczkę, odprawili mnie, bo dziecko zachorowało na grypę i prosiłam o podpisanie książeczki Kasy Chorych. Gdybym była na po czątku powiedziała prawdę, nie przyjętoby mnie. Dziecko przyszło do zdrowia, ale sama zaczęłam niedomagać. Macocha się zlękła, że nie będę miała z czego płacić, więc tak długo bunto wała ojca, póki pokazał mi drzwi. Pokryjomu z dzieckiem spałam u przyjaciółki; dziecko odrabiało lekcje na ławce w Alejach Ujazdowskich, choć to już był październik.

Nie mogąc znieść mojego cierpienia przyjaciółka oddała mi całe swe uciułane pieniądze, drugie tyle pożyczyła na wysoki procent, abym mogła kupić sobie jakie mieszkanko, żeby choć ta dziecina miała spokój i wygodę. Znalazłam rzeczywiście mieszkanko małe, lecz suche i słoneczne, ale mój Boże, jak żyć? Trzeba dziecku dać jeść... Przyjaciółka mi pomagać nie może, bo musi oddawać długi, zaciągnięte dla mnie. Pracy dostać w żaden sposób nie mogę, a tu płać komorne, a skąd?

Wczoraj moja córeczka przychodzi ze szkoły i mówi: „Mamusiu, pan doktór mówił, aby stanowczo mamusia dała 4 zł. 10 groszy na tran, bo gruźlicy dostanę", a ja ostatnie 24 grosze wydałam na zeszyty. Cóż mi po zostaje robić? Pracy nie mam, dziecku grozi gruźlica. Pomocy nie mam od kogo się spodziewać, iść do ojca i prosić nie mogę, bo to 76-letni starzec, ledwo przy tem stolarstwie może zarobić na chleb dla siebie. Chcę żyć dla dziecka, chcę je ratować. Iść rękę wyciągnąć, nie mogę. Dziecko ma skończone 8 lat i jest bardzo zdolne do wszystkiego. Nie daj mu zginąć, kochany Redaktorze, obrońco biednych i uciśnionych, okrutnie przez los prześladowanych..."

Mogę uczynić dla Pani, nieste ty, tylko tyle, że drukuję ten list w nadziei, że wypróbowane już tylokrotnie miłosierdzie naszych Czytelników i tym razem nie zostawi bez echa ten rozpaczliwy krzyk duszy nieszczęsnej matki, pragnącej za wszelką cenę ratować swe ukochane dzieciątko.

P. Heli z Woli.

Jakie to niewiasty miewają zmartwienia, świadczy list Pani, brzmiący: „Pewnej niedzieli prze chodząc z koleżanką przez cmen tarz prawosławny, zauważyłam pewnego pana w towarzystwie dwóch pań. Nie wiem, czy mi się zdawało, czy dopravdy uśmiechnął się do mnie. Nie znając go, przeszłam obojętnie, ale po chwi li doznałam dziwnego uczucia, jak gdybym już gdzieś tego pana widziała. Nie mogąc się opanować, wróciłam zpowrotem. Nie wiem, czy to złudzenie, ale wydaje mi się uderzająco podobny do człowieka, którego bardzo kocham. Otóż jeżeli owego pana zainteresowałam choć troszeczkę, niech przyjdzie jeszcze raz w to samo miejsce, gdzie go zobaczyłam. Chcę mu się przyjrzeć, czy to ten, o którym ciągle myślę. Jeżeli to on, będę bardzo szczęśliwa, że go poznam, jeżeli zaś nie on, to będę bardzo wdzięczna, że przybyciem swem wyrwie mnie z rozterki duchowej i nie będę już dłużej dręczyła się myślą, że zachowałam się wobec niego tak obojętnie. Nie mam innego sposobu dać mu o tem znać, jak przez kochane „Ostatnie Wiadomości", które chyba nie odmówią mojej błagalnej prośbie".

Ma Pani słuszność, Panno Helu, „Ostatnie Wiadomości" nie są w stanie niczego odmówić swym przemiłym Czytelniczkom, list Pani drukujemy więc skwapliwie, życząc pomyślnego wyniku.

P. Mira

tak kreśli swoje przeżycia:

„Mając lat 16, przyjechałam do Warszawy w celu poszukiwania pracy. Znalazłam ją, ku mojej radości, już wkrótce. Otrzymałam posadę ekspedjentki w sklepie. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby nie stanął na drodze mego życia mężczyzna, którego pokochałam od pierwszego wejrzenia. Spotykaliśmy się dość często, ale pokryjomu, w tajemnicy przed jego matką, bo to był syn mojej szefowej. Miłość nasza czysta, jak łza, trwała kilka miesięcy.

Aż pewnego razu mój ukochany namawiał mnie, abym mu uległa. Propozycję jego odrzuciłam z oburzeniem. On wszakże tem się nie zraził, nadal uporczy wie zabiegał o moją powolność. I oto pewnego dnia, Boże, nie zapomnę tego nigdy... było to w sam dzień moich urodzin... życzeniom jego stało się zadość... Początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy, myśląc, że nic strasznego się nie stało, bylebym dziecka nie miała. Ot, jaka byłam naiwna i niedoświadczona!..

A ukochany mój od tej chwili zaczął mnie unikać. Nie robiłam mu żadnych wymówek. Taki wstyd mnie palił, że nie mogłam spojrzeć mu w oczy. Rozłąka na sza trwała kilka miesięcy. Przestałam już u nich pracować. Ponieważ byłam bardzo zdolna, matka jego dała mi lepszą posadę w pewnej firmie, już jako skle powej samodzielnej. Pewnego razu spotkałam się z nim znów, pozwoliłam się przeprosić i od tej pory bywał u mnie niemal co dziennie. Przysięgał mi, że mnie kocha, przysięgał na wszystkie świętości, nawet na szczęście swej matki.

Ja, naiwna, wierzyłam mu, lecz on kochał mnie tak długo, jak pracowałam. Z chwilą, gdy straciłam pracę (i to przez niego), oddalił się odemnie, tłumacząc tem, że matka robi mu ciąg łe awantury, że on się nie uczy, tylko zawraca sobie głowę bied ną dziewczyną.

Jestem 19-letnią, wysoką, zgrabną brunetką, nawet wszyscy mó wią, że bardzo ładną, o dużych, czarnych oczach — i dlatego, że biedną, więc mi już nie wolno kochać mężczyzny, bogatszego odemnie? Czy wszyscy mężczyź ni są tacy? Czy już nie zabłyśnie dla mnie promyk szczęścia? Błagam Cię, kochany Redaktorze, radź, co czynić. Mścić się na ukochanym nie będę, bo go kocham."

To ostatnie zdanie jest wymownym dowodem, jak pięknie, szlachetnie i wzniośle Pani umie kochać. A to rzadkość w dzisiejszych czasach. Kobieta, umiejąca tak głęboko kochać, musi z pewnością mieć prawy charakter, szczere serce i kryształową duszę. Jeżeli zaś Pani ponadto jest, podobno, przystojna i młoda, myśli Pani, że nie znajdzie się ktoś, co potrafi ocenić taki skarb? Nie jeden, stu się znajdzie! Niechże Pani wśród nich wybiera tylko tych, dla których niezamożność Pani nie jest okolicznością ujemną, tembardziej, że Pani żyje wyłącznie z własnej pracy. Uczciwy i dobry człowiek (a tylko z takimi należy się zadawać) ceni szlachectwo pracy, wyżej niż rodowe lub... pieniężne.

P. Hance.

Po przeczytaniu listu Pani, p. Kazik zameldował się u nas listownie, donosząc, że mieszka w Kole. Prosi Panią o znak życia.

„Metta"

jest proszona o podanie adresu.

P. Wisieńka R. z Wierzbowej

najlepiej zrobi, jeżeli napisze ponownie.

DANIEL BACHRACH

Śladami przestępców

Sensacyjne pamiętniki

b. aspiranta Warszawskiego Urzędu Śledczego

Przez namiętność do zbrodni

Przed szeregiem lat głośna była w całej Polsce, śmierć znanego i ogólnie poważanego przemysłowca i obywatela ziemskiego Krasnodębskiego. Zmarły należał do wielu towarzystw dobroczynności publicznej i czynił wiele dobrego na polu filantropijnem. To też cała okolica opłakiwała jego przedwczesny zgon. Był to człowiek w sile wieku i w chwili śmierci nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki. Aczkolwiek zmarł on po długotrwałej chorobie, jednakże o przyczynie jego śmierci krążyły różnego rodzaju pogłoski.

Na skutek prośby rodziny zmarłego władze sądowe zdecydowały się nawet na dokonanie sekcji zwłok, lecz jak wynikało z orzeczenia lekarzy, Krasnodębski zmarł śmiercią naturalną.

Od chwili tej minęło prawie pół roku, gdy pewnego dnia wezwany zostałem do gabinetu naczelnika. Zastałem tam wytwornie ubraną parę w żałobie.

— Państwo Krasnodębscy — przedstawił mnie naczelnik — obecnym.

— Pan Krasnodębski wraz z siostrą zgłosili się do mnie — ciągnął dalej naczelnik — w bardzo ciekawej sprawie, ale według mego zdania beznadziejnej. Idzie tu o śmierć brata pana Krasnodębskiego. Państwo ci, są mimo orzeczenia lekarzy i dokonanej sekcji zwłok — przekonani, że brat ich zmarł nienaturalną śmiercią i że mordercy szukać należy w najbliższem jego otoczeniu.

— Czy wolno wiedzieć, na czem polegają te podejrzenia? — zapytałem.

— Jest to dość długa historja i najlepiej będzie, jeżeli pan Krasnodębski sam to panu opowie. Zechcą państwo udać się z panem Bachrachem do jego gabinetu, a po zakończonej z nim rozmowie odbędziemy konferencję, czy możemy w sprawie tej coś zrobić.

Wydałem polecenie dyżurnemu wywiadowcy, by mi do czasu zakończenia z nimi rozmowy nie przeszkadzał.

— Na czem opierają państwo swe podejrzenia? — rozpocząłem, kiedy znaleźliśmy się sami.

Zauważyłem na twarzach ich pewne zakłopotanie.

— Prawdę mówiąc, ani ja ani moja siostra nie mamy najmniejszej podstawy do tak poważnego zarzutu, jednakże cały przebieg choroby, zresztą dość niespodziewanej, wydaje nam się podejrzany. Zaznaczyć muszę, że brat mój cieszył się doskonałem zdrowiem i nigdy w swem życiu nie chorował.

— Zechce mi pan powiedzieć, jaka choroba była przyczyną śmierci?

— Zakażenie krwi

— W takim razie niema w tem nic dziwnego. Wszak najzdrowsi ludzie mogą umrzeć na zakażenie krwi i z pewnością wiedzą państwo o tem, że bywają wypadki śmierci nawet od ukąszeń muchy lub osy.

— Oczywiście, wiem o tem — odpowiedział Krasnodębski, — ale w tym wypadku zakażenie krwi nastąpiło w czasie leczenia mego brata. Nie chciałbym panu komisarzowi zabierać zbyt wiele czasu, ale uważam, że jest to konieczne, gdyż tylko po wysłuchaniu wszystkiego, zrozumie pan, że śmierć brata mego jest bądź co bądź podejrzana.

— Słucham pana. Proszę mi o powiedzieć wszystko od początku i nie liczyć się z czasem. Wydałem już polecenie, by nam nie przeszkadzano.

— Jak pan zapewne słyszał brat mój, nawiasem mówiąc człowiek bardzo bogaty był wielkim filantropem i bardzo dużo pieniędzy wydawał na cele dobroczynne. Będąc kawalerem i niezależnym, rok rocznie jeździł zagranicę i spędzał we Włoszech lub Francji kilka miesięcy. Przed dwoma laty otrzymaliśmy od niego wiadomość z Paryża, że się ożenił i przyjeżdża do domu ze swą młodą małżonką.

Przyznam się panu, że cała nasza rodzina była wiadomością tą zaskoczona, gdyż uchodził on za zatwardziałego starego kawalera, lubiącego nad wszystko wolność. W liście swym nie opisywał nam bliższych szczegółów, tyczących się jego żony. to też z niecierpliwością oczekiwaliśmy ich przyjazdu do kraju.

Po dwóch tygodniach otrzymaliśmy depeszę, że następnego dnia będzie w Warszawie. Oczywiście oczekiwaliśmy go wszyscy na dworcu. Kiedy ujrzałem jego żonę, to aczkolwiek była ona nieprzeciętnej urody i o dwadzieścia pięć lat od niego młodsza, zrobiła na mnie niekorzystne wrażenie. Wprawdzie była bardzo serdeczna i miła, ale w oczach jej zauważyłem jakieś dziwne błyski. Nie wiem sam, jak to panu określić, ale miała w sobie coś z pantery.

Widoczne było, że brat mój jest zakochany w swej młodej żonie, jak sztubak. Otaczał ją nad zwyczajną troskliwością i nie opuszczał na chwilę. Po kilkudniowym pobycie w Warszawie młoda para wyjechała do swego majątku w okolicach Radomia.

Przez dłuższy czas nie mieliśmy od nich żadnych wiadomości. Spędzali miodowe miesiące w majątku, nie przyjmując nikogo i nie jeżdżąc nigdzie z wizytami. W ten sposób minęły prze szło trzy miesiące.

Pewnego dnia brat mój przyjechał do Warszawy. Zauważyliśmy w nim pewną zmianę. Nie był to już ów zdrowy człowiek. Zaniepokojony zapytałem go, co mu dolega i poradziłem, by udał się do lekarza. Roześmiał się i odpowiedział mi, że czuje się doskonale, tylko miodowe miesiące nieco go wyczerpały.

Cóż chcesz — dodał ze śmiechem, — kiedy się ma tak młodą i uroczą żonkę, a przytem bardzo wymagającą, to w moim wieku, człowiek się nieco wyczerpuje.

Poradziłem mu większą wstrzemięźliwość w używaniu rozkoszy małżeńskich. Zastanowiło mnie tylko jedno, że kiedy wypytywałem go o rodzinę jego żony, to zmieniał temat rozmowy, lub pozostawiał bez odpowiedzi, i wił tylko, że żona jego pochodzi ze szlacheckiej rodziny i jest sierotą.

Dalszy ciąg nastąpi.

Giełda zbrodni

Obrazek z Berlina

Wracałem kiedyś późną nocą w Berlinie do domu.

Droga moja do domu prowadziła wzdłuż wału kolejowego, biegnącego przez środek miasta, od zachodu na wschód i dzielącego miasto na dwie części: północną i południową. Przy tym wale leży szereg dworców berlińskich dla ruchu dalekobieżnego, jak dworzec Charlottenburg, Friedrichstrasse, Aleksandra i Śląski. Między dużemi dworcami znajdują się małe, wyłącznie dla ruchu miejskiego i podmiejskiego.

Przechodziłem właśnie koło stacji Börse (Giełda), między dworcami frydrychowskim i aleksandrowskim, gdy zauważyłem, że w wale kolejowym znajduje się jakiś lokal, najwidoczniej kawiarnia, albo piwiarnia, jeszcze otwarty, bo oświetlony, choć już było po trzeciej nad ranem. Drzwi wejściowe i okna znajdowały się pod wiaduktem i zdaleka trudno je było dojrzeć. Jakoś wzięła mnie nagle ochota napić się kawy i wszedłem tam, nim zdążyłem się nad tem zastanowić.

Gdy znalazłem się wewnątrz, zorjentowałem się odrazu, że łatwiej tam wejść, niż stamtąd wyjść. Sala była nieduża, sklepiona, pełna dymu tytoniowego, różnych wyziewów i jakiegoś mdłego oświetlenia. Wszystkie stoliki, których było osiem albo dziewięć, były zajęte wyłącznie przez mężczyzn.

Wejście moje wywołało ogólne zainteresowanie, ale odsunąwszy od siebie obawy, podszedłem do bufetu.

Przy bufecie miałem lepiej poznać, jakiego rodzaju jest to lokal. Zażądałem kawy. Dano mi ją w glinianej raczej miseczce niż filiżance, dosypano do niej cukru i kazano zaraz za nią płacić, ale gdy poprosiłem o łyżeczkę, bufetowy, dużego wzrostu i pokaźnej tuszy, wyglądający na atletę, zażądał w zastaw — kapelusza.

Dając łyżeczkę, barman kazał mi zdjąć kapelusz i powiedział, że nie wolno stać przy bufecie, lecz trzeba zająć miejsce przy stoliku. Poszedłem za ruchem jego ręki i usiadłem przy stoliku, zajętym już przez dwóch mężczyzn.

Odrazu jeden z nich mnie się zapytał, czy czego nie potrzebuję. Ledwie zdołałem go zapewnić, że nic nie potrzebuję, gdy od innego stolika podszedł ktoś z tem samem zapytaniem, podkreślając, czy nie potrzebuję przypadkiem za przystępną opłatę paszportu bez różnicy państwa i narodowości. Inny ktoś znowu zapytał, czy nie potrzebuję mieszkania, gdzie mogę mieszkać bez zameldowania, inny jeszcze, czy nie potrzeba mi ludzi na robotę. Zgłoszono jeszcze kilka ofert, a gdy na każdą odpowiedziałem odmownie, zapytano mnie wręcz, poco tu przyszedłem i co wogóle robię w Berlinie.

Tymczasem koło mnie zebrała się grupa mężczyzn, przyglądających mi się bardzo uważnie i poczynających się zachowywać wyzywająco, a ja nie wiedziałem właściwie, co odpowiadać na zadawane mi pytania, bo nie orjentowałem się, czy czynione mi oferty są istotnie serjo, czy tylko pułapką na mnie. Zaczynałem myśleć, że już nie wyjdę cało z tej przygody.

Wtem jakiś rumor uczynił się przy drzwiach, otaczający mnie mężczyźni rozeszli się powoli do swoich stolików, a do sali weszło z tuzin policjantów, wszyscy z rewolwerami w ręku. Kilku stanęło przy drzwiach, kilku przy oknie, a kilku rozpoczęło przegląd sali. Do tego i owego odzywali się, jak do starych znajomych, a kogo nie znali, lub co do kogo mieli jakieś wątpliwości, tego brali między siebie. Ten los miał spotkać i mnie.

Zaprotestowałem naturalnie przeciw temu, bo teraz czułem się śmielszy i pewniejszy siebie. Powołałem się na to, że jestem dziennikarzem i wszystkie papiery mam w porządku, ale komendant patrolu nie chciał ze mną rozmawiać, oświadczając, że będę się tłumaczył w komisarjacie. Nie chciałem jednak iść w tem miłem towarzystwie do komisarjatu i z największym trudem tylko zdołałem się od tego uwolnić, przyczem więcej mi pomogła przypadkowa znajomość z pewnym wyższym urzędnikiem policji, niż wszystkie posiadane dokumenty. Komendant patrolu udzielił mi przytem rady, bym więcej nigdy do tego lokalu nie zachodził i dziękował Bogu, że w porę nadeszła policja.

Od niego też dowiedziałem się już w drodze do domu, że jest to istotnie lokal, w którym wszystko można nabyć, od fałszywych dokumentów do najdroższej biżuterji i najtańszej zwykłej garderoby, i można w nim nająć zbirów do każdej zbrodniczej roboty.

Obok znajdującej się w pobliżu państwowej giełdy walorów i dewiz — jest to giełda zbrodni.

Umiej się znaleźć!

Zasady zachowania się w domu, na ulicy, w towarzystwie

Jak przyjąć gości?



Pani ma gości nie często, bo kryzys, ale zato wszyscy dobrze się bawią na jej małych przyjęciach. Pani przyjmuje tylko w niedzielę, kiedy jej przyjaciele mają wolny czas.

Przyjęcie zaczyna się o 5 — 6. Naturalnie goście zjawiają się punktualnie, niema bowiem gorszej wady nad spóźnienie: denerwujące gospodarzy psują nastrój — i jest to wybitną oznaką złego wychowania.

Pani nie prosi wiele osób. Prosi pani przyjaciół, którzy dobrze się znają i dwie lub trzy osoby nowe. W ten sposób towarzystwo szybko się zestraja, a nie jest zbyt jednostajne.

Pani nie daje kolacji gorącej, a tylko kilka przekąsek, słodycze i wino lub czarną kawę, naturalnie bez specjalnie nakrytego stołu, a na stoliczku.

A teraz, jak się bawią goście? Naturalnie największą rozrywką na takich zebraniach jest dowcipna kulturalna rozmowa, ponieważ jednak bywają chwile, w których może zbraknąć tematu. Pani musi się zabezpieczyć, aby jej goście się nie nudzili. Najbardziej niezawodną rozrywką w dzisiejszych czasach jest brydż.

A dla młodzieży? Naturalnie patefon, parę płyt „do słuchu" i miłe sentymentalne tanga, które można tańczyć w najmniejszych pokoikach.

W ten sposób nie grozi pani sytuacja bez wyjścia, kiedy niewiadomo czem zająć towarzystwo, zwłaszcza jeśli przygotuje pani jeszcze parę pudełek dobrych papierosów.

Mk.

Czerwonoskóra miljonerka

zmarła po niezwykle burzliwem życiu, spędzonem na pijaństwie i orgjach

W pięknem sanatorjum, w Waszyngtonie, przeznaczonem dla ludzi, których majątek rozpoczyna się od jednego miljona dolarów wzwyz, zmarła przed pewnym czasem 50-letnia niewiasta, znana z nadmiernego używania alkoholu.

Dama ta, której słusznie należał się przydomek „czerwonoskóra miljonerka", w ciągu swego życia, była stale tematem najbardziej sensacyjnych opowieści.

Właściwe nazwisko zmarłej brzmiało O-He-Ke-Op-Pe. Była prawowitą córką Indjanina. Dopiero po wydostaniu się z szałasu rodzicielskiego i wypłynięciu na szerokie wody życia, młodziutka Indjanka przyjęła nazwisko Mary Elkins.

W niesłychanej nędzy upływało życie maleńskiej Indjanki. Nadszedł jednak i w jej życiu przełomowy dzień, gdy ojciec niespodziewanie zmarł. Zjawili się wówczas „biali", którzy zakupili ziemię, należącą do Indjanina i od tej chwili młoda córa czerwonoskórego wodza, zdobyła upragniony majątek.

Otrzymawszy majątek, O-He-Ke-Op-Pe przedewszystkiem poczęła używać w nadmierny sposób „wody życia", której była nadludzko spragniona.

Obliczono, że w ciągu 15 lat, czerwonoskóra Mary wydała 45 miljonów złotych, w czem znajduje się poważna pozycja na alkohol do własnego użytku.

Najulubieńszym miejscem występów oryginalnej miljonerki było Colorado, gdzie Mary miała własną, z bajkowym przepychem urządzoną willę. Okoliczni mieszkańcy dobrze znali willę „czerwonoskórej miljonerki", gdyż niemal od wczesnych godzin rozlegały się tam dźwięki muzyki, gwar tańczących, a często i urywane okrzyki młodych dziewcząt, które zbyt wcześnie zapoznawały się z rozkoszami życia...

Całonocne zabawy nie przeszkadzały miljonerce do prowadzenia „regularnego" trybu życia. W godzinach przedobiednich, w głęboko wydekoltowanej sukni zajmowała miejsce w ślicznem aucie lub też dosiadała narowistego rumaka i urządzała karkołomne wyścigi.

Gdy nadchodziła noc, Mary znikała w jednym z pokojów swego pałacu, a wraz z nią ulatniał się wybrany młodzieniec.

Mary, kobieta o niebywałym temperamencie, potrafiła w ciągu nocy zmieniać kochanków, jak rękawiczki.

Inna sprawa, że Mary, jako kobieta była nieoceniona. Pomijając już piękno jej ciała, nigdy nie robiła awantur tym kochankom, którzy „przypadkowo" wkładali do kieszeni cudowne perły, kolczyki, czy bransolety...

Mimo tak burzliwego życia, Mary miała czas i na ożenek. Dość powiedzieć, że „czerwonoskóra miljonerka" czterokrotnie wstępowała w związki małżeńskie. Należy tu podkreślić, że w dwa tygodnie po śmierci swego pierwszego małżonka, Mary była już znów mężatką!

W ostatnich latach swego życia, choć 5-ty krzyżyk zbliżał się nieubłagalnie, Indjanka kilkakrotnie płaciła olbrzymie sumy, jako odszkodowanie kobietom, którym odbierała... mężów na przeciąg pewnego czasu!!

Nadszedł jednak okres, gdy zniszczona wódką i burzliwem życiem miljonerka dostała pierwszego ataku sercowego. Odtąd znikła z jej domu wesołość.

Mary snuła się, jak widmo po pokojach pałacu, niekiedy załamywała ręce w jakimś konwulsyjnym ruchu. Czas mijał i choroba rozwijając się błyskawicznie zmusiła ją do kapitulacji. Przewieziona do sanatorjum po krótkich cierpieniach zmarła.

Jedyną spadkobierczynią „czerwonoskórej miljonerki" została jej córka, 16-letni Marja. Opiekę nad sierotą objęła gmina Waszyngtonu, stawiając sobie za cel wychować Marję na porządną obywatelkę, któraby nie poszła śladami swej matki.

(miecz.)

Wyjazd dwóch Angielek

do perskich bandytów dla wzruszeń

Dwie damy angielskie, lady Mountbutton i markiza Millfordhaven, nie mając większych zmartwień, obmyśliły sobie przy najmniej takie, na jakie je stać. Oto postanowiły obie wyjechać na poszukiwanie zmartwień i przygód na pustynię perską.

Tam dopiero — zwierzały się dziennikarzom — mamy nadzieję zapoznać się z życiem w całej pełni.

— Jakże panie wyruszają? Co panie ze sobą zabierają?

— Tylko worki do spania. Jedziemy w tych sukniach, w których nas panowie w tej chwili widzą. Uważamy, że to wystarczy. Na miejscu postaramy się zupełnie nie korzystać z usług przewodników, chcąc zachować samodzielność.

Wyruszymy w pierwszych dniach września do Konstantynopola, a stamtąd przez Palestynę do Persji..

— I niczego się panie nie obawiają?

— Obawiamy się... ukąszeń złośliwych moskitów. Bandytów nie obawiamy się zupełnie! — rzekła markiza, wydymając pogardliwie usteczka.

— W każdym razie — dodała lady — gdyby w przeciągu miesiąca nie było od nas wiadomości, będzie to dowodem, że wpadłyśmy w ręce bandytów...

Podobno jeszcze nikt nie poradził obu rozkosznym damom, pragnącym wzruszeń wśród perskich bandytów, by kazały sobie oblać głowy zimną wodą. Jeszcze jest czas — do września

KRONIKA KRAKOWA

Niedziela: Augustyna

Przepowiednie astrologiczne.

Dzień bardzo ciekawy przyniesie dobre rezultaty w poczynianach natury osobistej. Wykorzystać dobrą konjukturę. Zrealizować zamiary matrymonjalne. Nowe posunięcia w polityce i dyplomacji,

Teatr Miejski: Królowa Przedmieścia

Adria: „Na dworze króla Artura"
Apollo: „Niech żyje wolność"
Promień: „Dziewczątko z Prateru"
Sztuka: „Na śliskiej drodze"
Słońce: „Skazaniec ze Stambułu"
Świt: „Angelita"
Uciecha: Flip i Flap
Wanda: „Patrol"

Radjo

G. 10.00 Nabożeństwo, 11.05 Odczyt misyjny, 12.15 Poranek muzyczny, 14.00 Odczyt, 14.15 Koncert, 15.00 Odczyt rolniczy, 16.05 Odczyt, 17.00 Koncert, 18.00 Odczyt, 19.10 Rozmaitości, 20.00 Koncert, 22.00 Muzyka taneczna, 22.45 Wiadomości sportowe, 22.50 Muzyka taneczna.

Dyżur dzienny i nocny aptek:

Rynek A—B 43, Gertrudy 1, Krowoderska 74, Konopnickiej 3, Krakowska 9, Brodzińskiego 1.

Dyżur dzienny:

Rynek 22, Florjańska 15, Karmelicka 23, Al. 29-go Listopada 5, Dietlowska 76, Brodzińskiego 1.

Podziękowanie.

Wszystkim, którzy z powodu śmierci naszego najukochańszego Męża i Ojca ś. p. **Adama Wójcickiego** okazali nam wzruszające współczucia, uczcili Jego pamięć i oddali Mu ostatnią posługę — składamy tą drogą wyrazy gorących podziękowań z serdecznem „Bóg zapłać".

Żona, córki i synowie.

Wielkie włamanie do fabryki w Krakowie.

W nocy z 25 na 26 bm. nieznani na razie sprawcy przez piwnicę dostali się do otwartych biur fabryki baterji „Radjoli" przy ul. Szlak 51, Ignacego Muszyńskiego skąd na szkodę tegoż skradli futro damskie, około 20 kg. cyny w laseczkach i inne drobne rzeczy. Dochodzenie w toku

Aresztowanie.

Policja aresztowała Karamońskiego Józefa lat 26, bez miejsca zamieszkania za kradzież pakunku z wozu przy ul. Celnej na szkodę Józefa Słomki ze Swiątnik.

Slepkę Jana false Lisa, lat 22, bez zajęcia i miejsca zam. za sprzeniewierzenie kwoty 80 zł. na szkodę firmy Unger.

Aresztowanie włamywacza w Podgórzu.

Policja aresztowała Dadeja Antoniego, lat 22, robotnika, zam. przy ul. Kalwaryjskiej 45 i Dunaja Ludwika, lat 21, robotnika, zam. Bonarka 20 za włamanie do mieszkania Kazimierza Ziółki, przy ul. Zamojskiego 17, dokonane w dniu 18 b. m.

Potrącony przez samochód.

Onegdaj o godz. 8-ej na ul. św. Filipa potrącony został przez samochód wojskowy niejaki Hausschild Bolesław, technik, budowlany z Prokocimia, który jechał na rowerze. Hausschild doznał ogólnego potłuczenia na ciele, a rower również został uszkodzony. Przyczyna potrącenia na razie nie została ustalona.

Krwawa walka z włamywaczami

Wczoraj przy ul. Podlewskiego we Lwowie rozegrała się krwawa walka z włamywaczami, którzy usiłowali dokonać włamania do sklepu bławatnego firmy „Brody".

Oto w chwili, gdy manipulowali przy robocie sklepowej, usłyszała ich podejrzane szmery służąca, mieszkająca na parterze i obudziła mieszkającego obok st. posterunkowego policji Jana Urbanowicza.

Urbanowicz momentalnie wyleciał na ulicę, a wówczas jeden z włamywaczy strzelił do niego z rewolweru, raniąc go w ramię, poczem wszyscy trzej rzucili się do ucieczki w kierunku ulicy Brajerowskiej.

Urbanowicz mimo rany rzucił się za nimi w pogoń i ujął jednego z uciekających, którym okazał się znany złodziej mieszkaniowy Jakób Neuman.

Drugiego przytrzymali znajdujący się przypadkowo na tej ul. przechodnie, w chwili gdy upadł do rowu rozkopanego przez pracujących tam robotników gazowni miejskiej. Drugim włamywaczem okazał się Michał Potemyczko. Trzeciemu włamywaczowi udało się zbiec w kierunku ulicy Mickiewicza, gdzie znikł w ogrodzie Kościuszki.

Na miejscu wypadku zjawił się lekarz pogotowia ratunkowego, który opatrzył ranę postrzałową Urbanowicza, oraz kom. Mika i aspirant Biskozub, którzy przeprowadzili wstępne dochodzenia.

Za zbiegłym włamywaczem zarządzono pościg.

Restaurator zastrzelił awanturnika

Wczoraj około godz. 16 do restauracji Artura Langego w Gnieźnie przy ul. Grzybowo przybyło 6-ciu znanych awanturników i kryminalistów, niejacy Karol Schmidt, Ludwik Wolter, Stanisław Mrówczyński. Zażądali oni wody sodowej, którą otrzymali. Bandyci zachowywali się bardzo hałaśliwie i w pewnej chwili zaczepili syna właściciela Alfonsa.

Po krótkiej wymianie zdań poczęli go obrzucać kloszami z bufetu, na co Alfons dobył rewolweru i w obronie własnej oddał strzał, raniąc śmiertelnie Jana Mrówczyńskiego. Mrówczyński zmarł w drodze do szpitala. Bandyci wypędzeni ze sklepu, próbowali wedrzeć się ponownie doń przez zakład fryzjerski Wesołka, w tej chwili nadszedł jednak policjant, który spłoszył bandytów.

W wyniku dochodeń 5-ciu opryszków aresztowano.

Śmiertelne pobicie dozorcy

W szpitalu Przemienienia Pańskiego w Warszawie zmarł w nocy ub. 65-letni Wojciech Popiel, długoletni dozorca domu przy ul. ks. Skorupki. Jak już onegdaj donosiliśmy lokator wspomnianego domu Józef Kalisiewicz pracownik Kasy Chorych. Wskutek waśni między córką dozorcy a żoną K., napadł na starca na podwórzu powalił na asfalt, pobił i skopał aż do utraty przytomności. Lekarze stwierdzili ogólne potłuczenie i złamanie 2-ch żeber dolnych z prawej strony. — Policja przeprowadziła w tej sprawie dochodzenie i Kalisiewicza aresztowała. Pozostał on do dyspozycji sędziego śledczego.

Złodziej w przebraniu woźnego podjął 56.000 dol.

Do banku trustu chemicznego w Nowym Jorku zgłosił się przed kilkoma dniami pewien osobnik w stroju woźnego pewnej firmy i podjął na sfałszowany czek sumę 56.315 dolarów.

Gdy się okazało, że czek jest sfałszowany, wszczęto poszukiwania za oszustem i aresztowano go w stanie Virginia, dokąd się schronił.

Oszustem tym jest niejaki William Pender, który w przeciągu jednego dnia ze zdobytej w tak prosty sposób sumy zdołał już przetrwonić 1.710 dolarów.

Ujęcie groźnego homoseksualisty

Od dłuższego czasu w różnych punktach Lwowa grasował homoseksualista, który zwabiał chłopców w zaciszne miejsca i dopuszczał się na nich gwałtu.

Onegdaj zwyrodnialca ujęto na gorącym uczynku, w chwili, gdy dopuszczał się gwałtu na 12-letnim Stanisławie G.

Zboczeńcem okazał się 45-letni Franciszek Zamojski, zamieszkały na Jałowcu.

Napad bandycki na kościół

Wczoraj dwóch uzbrojonych bandytów wtargnęło do plebanji w Lubomierzycach w pow. głubczyckim na Sląsku opolskim. Napastnicy zmusili terorem księdza do wydania całej gotówki.

Jeden z nich strzelił do niego ale chybił, drugi uderzył pięścią księdza w twarz, raniąc go poważnie. Bandyci zbiegli.

„Nauczycielka" stręczycielką do nierządu

Aleksandra Chodecka, lat 43, podając się za nauczycielkę języka francuskiego prowadziła niecną robotę stręczenia do nierządu.

Chodecka grasowała poczęściej w cukierniach w śródmieściu warszawskim, gdzie „wyławiała" młode dziewczęta.

Stręczycielka „odsprzedawała" łup różnym nieznanym panom, którzy umieszczali ofiary w domu schadzek.

Chodecką aresztowano. Okazuje się, że była ona w swoim czasie prostytutką.

Śmiertelna sprzeczka.

We wsi Zagódź (powiat warszawski) Stanisław Barota, w czasie sprzeczki o dwa złote, zadał ranę nożem w klatkę piersiową Józefowi Pawłowskiemu.

W czasie udzielania pomocy przez miejscowego lekarza, Pawłowski zmarł.

Aresztowany Barota, tłumaczy swą zbrodnię silnym zdenerwowaniem z powodu nieuleczalnej choroby, na którą cierpi.

Dochodzenie prowadzi policja.

Sprowadzenie Gorgonowej do więzienia krakowskiego.

Jak się dowiadujemy, w dniach najbliższych Rita Gorgonowa przewieziona zostanie ze Lwowa do więzienia w Krakowie.

W związku z tem w najbliższych dniach adw. Ettinger z Warszawy wyjedzie do Krakowa, gdzie spotka się z drem Axerem ze Lwowa. Obrońcy odwiedzą Gorgonową w więzieniu, poczem powezmą linję obrony.

Dotychczas jeszcze nie wiadomo, czy Gorgonowa poddana zostanie badaniu przed rozwiązaniem ciąży, czy po rozwiązaniu.

Żona zabija męża i podpala mieszkanie.

32-letni Stanisław Radziszewski, zamożny gospodarz wsi Pióro, pow. sandomierski postanowił przeprędzić za zdradę swą 24-letnią żonę.

Radziszewska dowiedziawszy się o tem z zasadzki zadała mężowi straszny cios siekierą w głowę, kładąc go trupem na miejscu. Zbrodniarka następnie oblała mieszkanie naftą i podpaliła, chcąc zatrzeć ślady.

Pożar ugaszono, zbrodniarkę aresztowano.

Aresztowanie fałszerza 20-to zł.

W Warszawie znalazło się ostatnio w biegu sporo fałszywych 20-złotówek. Policja stołeczna, kierując się zeznaniami aresztowanych kolporterów ustaliła, że falsyfikaty dostają się do Warszawy z terenu Łodzi.

Zawiadomiony o tem odkryciu policja łódzka aresztowała wczoraj fałszerza, jest to Jan Rachul vel Rachulski, malarz pokojowy.

Samobójstwo po stracie dziecka.

W bramie domu nr. 7 przy ulicy Okopowej w Warszawie, otruł się sublimatem 43-letni inżynier Franciszek Koziołek. Desperata w stanie ciężkim przewieziono do szpitala Dz. Jezus. Przyczyną zamachu na życie była rozpacz po śmierci 2-letniego synka, który zmarł przed tyg.

Echa wypadków pod Łapanowem

Jak się dowiadujemy, dochodzenia w sprawie zajść pod Łapanowem zostały zakończone. Rozprawa przed sądem przysięgłych odbędzie się w jesieni w Krakowie.

Zabiła swe dziecko, porżnęła na kawałki i ugotowała z niego gulasz.

W miejscowości Szilvasvarad na Węgrzech oddał sąd pod obserwację psychjatrów pewną dziewczynę, która przyznała się, że swoje nowonarodzone dziecko zabiła, pokrajała na kawałeczki i ugotowała z niego gulasz.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Kraków, ul. Na Gródku 2. — Telefon 173-02 (od godz. 8 — 11 w poł.)
CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej 1 wiersz. mm. 50 gr. Drobne 25 gr. za wyraz. Prenumerata miesięczna zł. 3.— wraz z doręczeniem do domu.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Alfred Kwiatkowski. Drukarnia Monopol, Kraków, Na Gródku 2.